

**Kontekstowa etnologia
– wiedza radosna.
Smaki czytania, przyjemności pisania,
radości odkrywania¹**

Rzut oka na szczególnie zastawioną półkę – jedną z tych wyższych w domowej bibliotece, z większym odstępem, na wydawnictwa formatu A3 – upewnia, gdyby ktoś miał wątpliwości: „Konteksty” to naprawdę *tolstyj żurnal*. Każdy tom z oddzielną może nie opasły, bo raczej dzięki formatowi smukły, ale półka aż się ugina. Same tylko grzbyty swoim kontrastem sygnalizują dziejową cezurę: zszargane, makulaturowe okładki starych numerów i połysk lakieru, masywna gładkość, typograficzna elegancja dzisiejszej szaty graficznej. I choć to tamta, pre-kontekstowa sztuka ludowa była moją młodzieńczą miłością, a zdjęcia Jana Świdorskiego i Jacka Olędzkiego pewnie bardziej nawet niż teksty zaprowadziły mnie na etnografię (pisałem o tym trzydzieści lat temu, gdzieżby indziej, jak nie w „Polskiej Sztuce Ludowej”, w hołdzie komuż by innemu, jak nie Aleksandrowi Jackowskiemu – Wasilewski 1987), to dziś bardziej odnajduję się w tekstach i kontekstach antropologiczno-etnograficznych, traktując je nieledwie jak swoje. To oswojenie wynika i z pisania, i z czytania.

Zabranie się za tom „Kontekstów”, wzięcie go do ręki na dłużej, do poczytania, to już czynność odświętna. Bo też jest w nich coś świątecznego. Nie ma tu publicystycznej strzelaniny, jest – u większości autorów – ton solenny, refleksyjny. Może wolno mi tu użyć słowa – szlachetność? Do takiej lektury trzeba mieć spokojniejszą głowę, uporządkowane biurko, a po prawdzie kanapę (długą), filiżankę herbaty. Owszem, bywa też, że muszę do któregoś z dawnych numerów zajrzeć w pośpiechu, stając przed regałem w instytutowej bibliotece, by szybko sprawdzić cytat czy informację do wykładu, ale prawdziwa lektura to rzecz świąteczna. Najpierw jest ciekawość, jaka jest koncepcja numeru, czemu jest poświęcony, na jakie teksty przekłada się w praktyce hasło wiodące. Przy takim rozrzuć niektórych zeszyty tematyczne wypadają poza mój kadr, inne czytam w większej części, ulubionych autorów – zawsze. Humanistyka prezentuje tu swe wytworniejsze oblicze, nie ograniczona do ciasnych opłotków specjalności, ale poszerzona o literaturę i poezję, a do tego estetycznie ozdobiona sztuką.

Podobnie odświętnie się do „Kontekstów” pisze: z satysfakcją przyjmuje się zaproszenie Redaktora, z przyjemnością zaczyna się formowanie tematu, układanie ciągu myśli, nastrajanie się na właściwy ton, dobieranie słów. Nie mówię, że pisze się łatwo – tak bywa tylko z grafomanią – ale nigdy nie jest to żmudna powinność. A po odesłaniu gotowego tekstu czeka się na pochwałę Redaktora. (Łatwo powiedzieć: „Redaktora” – jednego takiego nazywano nawet Księciem; dla Zbyszka, który od Jackowej abdykacji wszystkim tym

Etnolog w podróży... (9)

JERZY S. WASILEWSKI

**Etnolog
w (jubileuszowej)
podróży**

włada i nad wszystkim panuje, trzeba by wymyśleć jakiś tytuł iście królewski). Ale On z tymi pochwałami nie przesadza, autor sam musi sobie udzielić absolutorium, zadowolić siebie samego w proporcji do starań, jakie włożył w swoją robotę. Zresztą, mnie wystarczy radość pisania.

A potem zostaję ze swoim dziełkiem związany i ja – coś tam jest mi ono na zawsze bliskie. Jak dokładnie działa ten mechanizm, w efekcie którego piszący staje się niewolnikiem własnych słów i zdań? Kiedy, mimo że esej od dawna wydrukowany, i nawet parokrotnie przez autora z eleganckich stron przeczytany (i to z radością, bo, powiedzmy to szczerze: mało który tekst czyta się tak gładko, jak własny), to nadal zmusza go do przemyśleń, wciągając na swoją orbitę wszystkie kruszyny materiałowe, jakie tylko pojawią się na horyzoncie. Jak długo jeszcze będę zatem zbierał wpadające w rękę przekazy tekstowe i wyobrażenia, przedstawiające np. spadanie głową w dół, skoro wszystko, co umiem na ten temat powiedzieć, i tak napisałem przed trzydziestoma laty? Dlaczego w wakacyjnej wędrowce po europejskich kościołach fotografuję każdy kawałek fresku, na którym grzesznicy w taki właśnie sposób lecą do piekła, a w Internecie szukam takich przedstawień w starych inkunabułach? Pewnie dlatego, bo własny tekst, który o tym napisałem, uczula i uwrażliwia mnie samego na demoniczną infernalność tego wyobrażenia i nie daje przejść obojętnym w kolejnych spotkaniach.

Łamy „Kontekstów” to dla mnie miejsce na dzielenie się radością z uprawiania etnologii, a w niej, jak w każdej nauce, prawdziwą radość sprawiają odkrycia. Pozwalam sobie mówić o „wiedzy radosnej” i nie będę przeproszać Nietzschego za przywłaszczenie jego tytułu (mam alibi: w nowym przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz i tak został on zmieniony na *Radosną wiedzę*), bo przecież nie w tamtym znaczeniu tego sformułowania używam: chcę widzieć naukę jako proces radosnego, bo niespodziewanego odkrywania, odsłaniania, jako ciąg zaskakujących, przygodnych satysfakcji z odszyfrowywania enigm. Ba, satysfakcję dają nawet późniejsze korekty, uściślenia, odwoływanie – wtedy jest to to radość erraty.

Takimi radościami i taką wizją nauki pozwala mi się dzielić właśnie to pismo. Oczywiście, te poważniejsze i bardziej złożone ustalenia, mające charakter „odkrywczy” (przynajmniej dla mnie), publikowałem w innych, bardziej konwencjonalnych miejscach. Ale przecież ta Wielka Księga Mądrości, nad którą pracujemy, ma też swoje marginesy, a na nich – jak w średniowiecznych inkunabulach – rozgrywają się różne bagatele, błazeńskie marginalia, wesołe *drolerie*; by zmienić metaforę na architektoniczną: z murów Katedry Wiedzy, na zewnętrznym obwodzie sfery sacrum, wyrastają pocieszne gargulce, zabawne żygacze, groteskowe stworki, cieszące oko i dające odpocząć umysłowi. W trakcie uprawiania nauki też wychodzimy poza katedralne ściany i poruszamy się po obrzeżach, gdzie jest miejsce na Niepoważność. Z takich to podróży, ze zdarzeń niespodziewanych, z ustaleń może marginalnych, ale owocujących refleksją ogólniejszą, zdawałem parokrotnie sprawę na niniejszych łamach. Niech mi będzie wolno teraz do jednej z nich powrócić.

2.

Pewnie znasz, łaskawy Czytelniku, angielskie słowo *serendipity*, ukute przez Horacego Walpole’a, będącego akurat po pewnej baśniowo-orientalnej lekturze; określa ono takie odkrycie, w którym przypadkowe znalezisko okazuje się znacznie cenniejsze niż to, czego się pierwotnie szukało. Dziś, w dobie Internetu, znajomość tego niebanalnego słowa nie jest szczególnym powodem do dumy; kiedy je poznałem, byłem rad zarówno z jego orientalnych odniesień (do Cejlonu,

w arabskim *Serendip*) i z takiego oto objaśnienia: to tak, jakby szukać w stogu siana igły, a znaleźć w nim... córkę farmera.

W tekście *Tajna historia przedmiotów* (Wasilewski 1998) podzieliłem się pewnym zdarzeniem, które mogłoby być ilustracją owej *serendipity*. Otóż ponad dwadzieścia lat wcześniej na ułanbatorskim bazarze, grzebiąc w stercie starzyny w poszukiwaniu nie wiadomo czego, znalazłem carski medal „Za stłumienie buntu polskiego 1863-64”. Pokierszowany, z urwanym uszkiem, bez wstążki (dziś wiem, że musiała to być *andrejewskio-georgiewskaja lenta*, w części białobłękitna, a w części żółto-czarna). Spowodowało to u mnie gorączkę wyobrażeń, jak to „ktoś próbował puścić go kiedyś jako monetę. Gdzieś w jakimś zajeździe na kiachtyńskim trakcie, eskortujący kupców w drodze do Urgi [i dalej, do Kałganu i Pekinu, po jedwab i herbatę w zamian za syberyjskie futra i uralskie wyroby żelazne] esaul zabajkalskich kozaków niby to niedbale rzuca na mokry blat szynkwasu garść miedziaków... A wcześniejsze, polskie etapy tej drogi? Kto i za jakież to czyn bohaterski został nim odznaczony? Za odwagę, za spryt czy za podłość?” – pytałem. W krótkiej, quasi-literackiej próbie odpowiedzi przesunęły się postacie junkra Zubowa, esaula Dukmanowa, sołtysa Kraśko ze wsi Czerepy...

Przypomnę dalej, że to znalezisko dopełniłem, kojarząc je z wędrówką w przeciwną stronę. Za punkt wyjścia obrałem drugi znaleziony krążek: stara, pozabawiona wartości chińska moneta, z otworem i ze znakami np. cesarza Qianlonga, użyta jako ciężarek do pęczka wełny albo kilku piór – i mamy grę *w zośkę* (chińskie *jianzi*, japońskie *kemari*, koreańskie *wangbog*, mongolskie *teweg*, buriackie *zos* itd.). I oto okazuje się, że polskie słowo *zośka* na oznaczenie rekwizytu do tej gry pochodzi w istocie z języka mongolskiego, a ściślej z buriackiego, gdzie *zos* to „moneta, miedziak” (uzupełnione o rosyjską końcówkę fleksyjną, bo w połowie XIX wieku syberyjscy Rosjanie, w tym najchętniej młodzi wojskowi, przejęli tę grę właśnie od Buriatów). I znów wraca pytanie o to, kto, kiedy i jakimi drogami zaniósł tę nazwę (i pewnie całą grę) na warszawskie podwórka. Moje pierwotne przeświadczenie, że musieli to być ci sami carscy żołnierze, którzy w drugą stronę, z Mazowsza w głąb Azji, przywieźli carski order, miało za sobą w roli dowodu tylko owo mocne poczucie *serendipity* – niewiarygodnego, ale prawdziwego łuta szczęścia, stojącego za bazarowym znaleziskiem. Przekonanie to musiało jednak ustąpić faktografii – informacjom etnograficznym, wedle których *zośka* była wcześniej w tej części Polski nieznana, a do Warszawy wnieśli ją dopiero żołnierze Armii Czerwonej. Mojemu odkrywaniu od razu towarzyszyło więc wycofywanie, ale ta zaskakująca weryfikacja też przyniosła nową satysfakcję.

W ówczesnym tekście do obu tych krążków dodałem jeszcze trzeci (jak wiadomo europejskie myślenie



przywyczajone jest do argumentacji „na trzy”; bo np. Indianie Nowego Świata używali powszechnie liczby koordynującej „cztery”), ale dziś mam sposobność poprawić tamtą konstrukcję, bowiem nefrytowy dysk wyraźnie odstawał od miedzianych krążków. Na tej pozycji umieszczam zatem inne, również metalowe kółeczko – jedno z garstki tych, jakie w pokazano nam w syberyjskim Jakucku, w tamtejszym Muzeum historii i kultury ludów Północy im. Jarosławskiego. Nie są efektowne, nie ma ich na wystawie, ale pracownik magazynu prezentuje je z satysfakcją, bo towarzysząca temu informacja o ich aż nieprawdopodobnym pochodzenia daje mieszkańcom peryferyjnej Jakucji poczucie związku ze światowymi metropoliami i uczestnictwa w europejskiej historii.

Trzymam więc oto w dłoni garstkę pociemniałych krążków z cieniutkiej blaszki, kilkumilimetrowej ledwie średnicy, znalezionych w pochówku jakuckiego szamana, niemożliwym do dokładniejszego datowania. Co one tam robiły – nie wiadomo, nie są to bowiem żadne wyobrażenia ani też brzękadelka, których tyle bywa przy szamańskich kostiumach, ale cieniutkie płatki, wręcz cekiny, bez żadnych czytelnych wzorów czy oznaczeń. Muzealny archeolog wyjaśnia, że parę z tych „cekinów” wysłano do ekspertyzy do Moskwy i Petersburga, skąd po jakimś czasie przyszła odpowiedź, że są to ni mniej, ni więcej tylko... żetony, używane do gier hazardowych (tryktrak i karty, zgaduję) na dworze Ludwika XV w Wersalu.

Tak jak wtedy, na ułanbatorskim bazarze, natychmiast pojawia się pytanie, jak odbyła się wędrówka tych rzeczy. Odległość czasoprzestrzenna między Wersalem a szamańską mogiłą jeszcze większa niż w przypadku tamtego „polskiego” medalu, a i niepozorność obiektu zadania nie ułatwia. Powtarzam wprawdzie te same słowa: „Przedmiot ma w sobie moc... Trzeba uruchomić w sobie *hermeneutykę* rzeczy, otworzyć się na mowę przedmiotu”. Ale, przyznaję, wskazówki te traktuję raczej metaforycznie, tym bardziej, że sama materialność tych cekinów jest zbyt skromna, by imperatywnie narzucić jakąś wizję. Co najwyżej mogą to być domniemania, przypuszczenia, wzbudzone przez „historycznie poinformowaną” domysłność i wyobraźnię. Nie mogę liczyć, że usłyszę głos tych rzeczy, bo przecież nie wierzę w taką sprawczość przedmiotu, jaka może wynikałaby z koncepcji Bruno Latoura, a już do irytacji doprowadza mnie tzw. zwrot ontologiczny z jego mówieniem o sprawczości wszystkich bytów, łącznie z „lasami, które myślą” (Eduardo Kohn) i duchami, przywoływanymi w szamańskim seansie². Ta rezygnacja z ludzkiej podmiotowości, a może i z racjonalności w ogóle, jest dla mnie nie do przyjęcia w swej ahumanistyczności; nie umiem wyzbyć się oldskulowego przekonania, że to człowiek stanowi o losie rzeczy, określając ich historię – choćby jako podmiot zbiorowy, szereg ludzi, łańcuch rąk podających sobie ten depozyt, w dowolnym odda-

leniu czasowym: ktoś konkretny był nosicielem tych blaszek, wywiózł je kiedyś z Paryża i dowiózł, nie wiedzieć po jakich drogach, na drugi koniec Eurazji. Kto zatem nim był – kogo by tu znowu nieco beletrystyczną wyobraźnią wysłać nad Sekwanę i z powrotem?

3.

Poślijmy tam któregoś z kniaziów Kurakinów, mamy ich kilku z tej dynastii do wyboru. Kiedy? – „Początek epoki Oświecenia. Wtorek”. Aleksander tego wieczora w tryktraka wprawdzie nie grał – stawiać mniej niż wieś byłoby dla niego poniżej godności, a już te blaszki to w ogóle *czort woźmi*, zresztą kto tu w Paryżu połakomi się na jego wioski, baliby się, że same z tego kłopoty, gdzieś wśród Tatarów, za wielka dla nich nasza kraina Septentrionów. A cały ten ich tryktrak – przecież to nic innego, jak kaukaska tabla – a kto on, kupiec jakiś, Ormiaszka, albo gruzińskie książątko, co to na kamiennej wieży w suchej dolinie siedzi, sodomita jeden, jak oni tam wszyscy?³. Trzymał jednak w dłoni garść żetonów, bo służył nimi zza pleców Mme du Caillois, która ochoczo zasiadała do każdej gry, na ten wieczór towarzysząc jej w roli, jak to deklarował w swojej odrobinę jeszcze niewypolerowanej francuszczyźnie, *szewalierr serrwant* (znajomość zaczął od ofiarowania jej sobolowej czapeczki, w której było jej naprawdę ślicznie). Madame po dwóch partiach rzuciła grę a jej prośba o towarzyszenie w dalszym ciągu wieczoru brzmiała rozkazująco i obiecująco zarazem, więc tylko szybko wyspał sztony do kieszeni... Nad ranem, kiedy wrócił do swojego już apartamentu w Trianon, rzucił fraczek na podłogę, a sam padł na łóżko odrabiać braki snu. Garderobą zajmie się Fied'ka, kiedy tylko się obudzi, pospawszy, jak to zwyczajnie, w progu pańskiej sypialni – z całą starannością przeszuka kieszenie, czy aby nie poniewierają się tam jakieś grosze, które tylko by jaśnie panu pobrzękiwaniem swoim zawadzały...

Ale przecież szczęśliwie ani żaden z Kurakinów ani też ich Fied'ków (czy którykolwiek z ich potomków albo spadkobierców) nie znalazł się nigdy na Syberii. Pokusa bierze zatem, by te cekiny wyspać do kieszeni komuś, kto znad Sekwany sam trafił nad Lenę. Może któremuś z tych towarzyszy ucieczki Maurycego Beniowskiego, co to nawłóczywszy się po paryskim bruku doszli do wniosku, że jednak na Kamczatce było im lepiej? Trafił przedtem któryś z nich do Wersalu jako egzotyczna atrakcja? Pewnie tak, ale kto by tam z tymi niemowami do stolika zasiadał... Może więc raczej sam radca paryskiego poselstwa imperatorowej Katarzyny zachował sobie tę garstkę blaszek z któregoś karcianego wieczora, ot tak, bez szczególnej intencji? No to teraz nadadzą się, żeby okazać łaskawość jednemu z tych dzikusów, których trzeba odprawić do domu... Uciekli, durnie, z tym awanturnikiem Beniowskim, opłynęli pół świata, pobyli na koniec w Paryżu, ale tak im tu nadojadło, że proszą teraz zmiłowania, żeby mogli wrócić



1



2



4



3

1. Wielka Księga Mądrości ma swoje marginesy, a na nich – jak w średniowiecznych inkunabulach – rozgrywają się różne bagatele, błazeńskie marginalia, wesołe drolerie. Drolierie z Psalterza Macclesfielda, Fitzwilliam Museum, Cambridge, www.fitzmuseum.cam.ac.uk/gallery/macclesfield
2. Szaleństwo aukcjonerów, wpadających w ekstazę przy recytowaniu formulek, zachęcających do aukcji, a jednocześnie pełne panowanie nad zebraną grupką licencjonowanych uczestników. Tokijska giełda rybna Tsukiji. Fot. Jerzy Wasilewski.
3. ...brzękadelka, których tyle bywa przy szamańskich kostiumach... Szaman jakucki. Ekspozycja w Muzeum Historii i Kultury Narodów Północy im. Jarosławskiego w Jakucku, www.museum.ru/M1275.
4. Tokijska giełda rybna Tsukiji. Fot. Jerzy Wasilewski.

do siebie, na Kamczatkę. Imperatorowa raczyła okazać łaskawość, więc niech sobie jeden z nich weźmie ten błyszczący *suwenir*...

A jak było dalej? Może któryś z nich zapadnie ciężko na zdrowiu, gdzieś nad Wilujem trafi do szamana, to i wypłaci mu się pozłocistymi jeszcze wtedy krążkami? Takie spotkanie mógłby nawet opisać kościuszkowski zesłaniec Józef Kopeć, który miał z tymi właśnie repatriantami naprawdę do czynienia w czasie swej kamczackiej niewoli, bo zrzędzeniem losu pełnili funkcję jego strażników. Sam też był szamańskim pacjentem, tamtejsze szamaniki nazywa Sybillami i tak to opisuje: „Najprzód Sybille przyniosły z sobą suche cedrowe drewna i dużą kamienną płytę, na której rozłożyły ogień a mnie kazały usiąść niezbyt wysoko i nie lękać się niczego. Potem zaczynają swoim językiem coś do ognia gadać, jedna z nich zaczyna pełznąć do mnie z ryczeniem głosu niedźwiedziego i zbliżywszy się na krok, rzuca się na mnie szarpiąc zębami wszystkie suknie aż do samego ciała, gdzie guz był uformowany. Zaraz potem upada na wznak, zostaje jakby w konwulsjach i do rozpalonego ognia toczy się. Gospodarz w tym momencie ostrzega, abym patrzył na jej głowę. Jakoż postrzegam, że ma kręcącego się w zębach dużego czarnego robaka, i powiada mi gospodarz: widzisz panie, że dobyte diabła. Druga jej towarzysza wyrwała z gęby i na stos rzuciła, poczym zaczęły niezmiernie cieszyć się i skakać, że otrzymały zwycięstwo. Wziąwszy swą zapłatę odeszły. Gdy mnie odurzali owym kuglarstwem, zdawało mi się przez imaginację, że czuję jakieś ulżenie, lecz nazajutrz wróciłem do dawnego stanu” (Kopeć 1837, s. 134-135).

Można by więc Kopia spytać o szczegóły, gdyby nie to, że najwyraźniej on sam pytać nie umiał – dystans międzykulturowy był zbyt duży na porozumienie: nie dało się rozmawiać, skoro są to, jak pisał, „dzikie i mało się różniące od zwierząt narody”. Są nawet wśród nich pół-ludzie, pół-zwierzęta, a to z tego, że „niedźwiedzie porywają kobiety i unoszą do lasów, a jednak im nic złego nie robią. Opowiadał mi tameczny ksiądz ewangelista godzien wiary, ośmdziesięcioletni starzec, że mu przynoszono do chrztu dzieci, ale kiedy ujrzał że były monstra, coś podobnego do człowieka i do zwierza, kazał żywcem zakopać” (tamże, s. 91-92). A tak na marginesie, to nie był nasz Kopeć ostatnim Polakiem, który mieszkańców Syberii równał ze zwierzętami. Pewien zesłaniec postyczniowy pisał, przechodząc od opisu syberyjskiej przyrody do przedstawiania ludzi: „Dwunożni mieszkańcy tajgi niewiele różnią się od czworonożnych...”.

Wróćmy do zadziwiającej podróży naszych kudłatych paryżan, o której sam Kopeć wie niewiele: „Opowiadali mi dziwne rzeczy o Paryżu, bo tego pojąć nie mogli podług ich wyobrażenia i sposobu pojmowania rzeczy. Długo ci nieszczęśliwi błakali się: syn popa był ich przewodnikiem. Na szczęście ktoś ich oświecił, że w tym miejscu jest pełnomocny poseł moskiewski. [...]

Katarzyna II kazała dać im wolność i mieszkanie z pensją, na co się oni nie zgodzili, żądając tylko powrócić do swojej ojczyzny” (tamże, s. 119, 120).

Kamczatka jako wymarzone miejsce na ziemi, lepsze niż Paryż... Nie mogę oprzeć się wspomnieniu pewnej rozmowy, którą przypomniał mi niedawno Lech Mróz, współuczestnik naszych syberyjskich badań w Jakucji i wielu innych podróży. Byliśmy wtedy w Batagaju – miasteczku na Koluymie, zbudowanym w latach 30-tych przez więźniów tamtejszego morderczego obozu Ese-Chaja (gdzie i mój własny wuj-szaniec kopał tamtejszy kasyteryt – strategicznej wagi wysokoprocentową rudę cyny – a przedtem jeszcze rujnujący zdrowie uran, przez dziesięć lat od aresztowania pod koniec wojny). Batagaj to do dziś jedna z twarzy „smutnej Arktyki”, jak pisałem: „odnosiłem tam wrażenie, że budujący je i żyjący w nich skazańcy nienawidzili tych miejsc i mszcząc się na nich za swoją tragedię dokładali starań, by wyglądały jak najgorzej: zeszpecone koszmarną infrastrukturą rozpadających się rur i kominów, zablocone i niemożliwie zaśmiecone wszelkimi odpadkami, po sowiecku byle jakie i zdewastowane” (Wasilewski 2006, s. 6). A tymczasem żyjąca tam Rosjanka, pracownica obskurnego hoteliku czy raczej noclegowni, nielepszej niż miasteczkowa średnia, pytała nas z ogniem w oczach, czy widzieliśmy na całym świecie coś równie pięknego jak ten jej Batagaj, bo ona nie potrafi sobie takiego miejsca wyobrazić...

4.

Zmieńmy tonację – odejdźmy zarówno od nostalgicznych wspomnień, jak i od fikcyjnych biografii. Niech tamte epizody posłużą za punkt wyjścia do pewnej procedury akademickiej. Potraktujmy je mianowicie jako nauczkę, iż to co wydawało się lokalne, umiejscowione, może mieć odniesienia znacznie odleglejsze, bez uwzględnienia których nasze rozumienie danego przedmiotu – obiektu, praktyki, instytucji – będzie niepełne bądź fałszywe. Uwzględniając to memento, przyjrzyjmy się tokijskiej mega-giełdzie rybnej – potężnej atrakcji turystycznej, stanowiącej dla każdego ją oglądającego istną kondensację tego, co najbardziej specyficzne i najlepsze w Japonii, kraju przecież wyspiarskim. Codziennie, jeszcze długo przed świtem i do wczesnych godzin dnia, uwija się tu bodaj trzydzieści tysięcy ludzi – kupujących, sprzedających, transportujących i przetwarzających towar, który jeszcze świeży musi znaleźć się w sklepikach, sushi barach, restauracjach, u ulicznych sprzedawców pudełek *bento* ze śniadaniem, a wreszcie w rękach gospodyń domowych i na talerzach milionów konsumentów tokijskiej aglomeracji i jej okolic. Wjeżdżają tu tysiące pojazdów dostawczych, przywożąc kilkadziesiąt, a może nawet parę tysięcy gatunków i odmian ryb i innych stworzeń morskich – od wielkich, zmrożonych do białości tuńczyków po małe muszki. Wszystko to musi zostać posortowane, wyeksponowane, rozmrożone, pocięte, porozpakowywane i znów

zapakowane, słowem na wiele sposobów przygotowane do wejścia na rynek. Można się tylko domyślać ogromu wiedzy kulturowej, technik i umiejętności, potrzebnych do ich złowienia, przechowania, transportu, marketingu, sprzedaży i kulinarnego przetworzenia.

Jako że formuła tego cyklu artykułów zakłada wykorzystanie etnograficznych obserwacji z podróży, przytoczenie tu moich zapisanych ołówkiem wspomnień z pierwszej wizyty na Tsukiji przed trzydziestu laty uznam za dopuszczalne:

Enklawa wyizolowana od reszty świata, nawet Tokiojczycy niewiele o niej wiedzą; napisy zabraniają wstępu nieupoważnionym, szczęśliwie przybysz z Zachodu ich nie rozumie. Akcja zaczyna się, gdy miasto jeszcze śpi i nie chodzi nawet metro, zaś kończy się w porze śniadania. Licytacja przywiezionych w nocy tuńczyków z cenami wywoławczymi postępującymi w dół, a nie w górę; w wypadku ofert równej wysokości rozstrzyganie wyniku przez grę palców *jan-ken* (kamień-nożyce-papier, gdzie imitujący je układ dłoni dwóch rywali pozwala na ustalenie zwycięzcy: kamień pokonuje nożyce, te zwyciężają papier, ten z kolei pokonuje kamień, bo go może owinać). Zupełnie nieczytelny dla cudzoziemca-*gajina* system dystrybucji towaru, przechodzącego z rąk do rąk przez łańcuch kolejnych pośredników, brak widocznych cen, handel oparty chyba na osobistych, wieloletnich znajomościach. Ezoteryczna wiedza specjalistów, oceniających domniemaną jakość mięsa wielkiego tuńczyka, przeznaczonego przecież do surowej konsumpcji, jako *sushi* czy *sashimi*, przez postukiwanie hakiem w nadcięty u ogona przekrój zamrożonej na kość sztuki. Waga przykładana do perfekcyjnej formy (*kata*), sposobu złowienia i przetransportowania bez uszkodzeń. Szaleństwo aukcjonerów, wpadających w ekstazę przy błyskawicznym recytowaniu – wręcz terkotaniu – formulek, zachęcających do aukcji, na poły wykrzykiwanych, na poły śpiewanych (w indywidualnych stylach, innych u każdego aukcjонера), i tak czytelnich tylko dla kilku licencjonowanych uczestników: zachowanie podobne raczej do toków głuszcza czy cietrzewia – zamknięte, ślepe na wszystko oczy, cały wysiłek idzie w śpiew, nieledwie transowy, narzucający nabywcom odwagę w hazardzie, jakim jest kupno ryby, o której cała prawda (to, czy będzie z niej znakomite *sushi* czy nie) wyjdzie na jaw dopiero po transakcji. A jednocześnie pełne panowanie nad zebraną grupką, całkowita przytomność konieczna do zanotowania niezauważalnych dla mnie znaków *teyari*, dawanych przez nabywców – jakichś kiwnięć i mrugnięć, wyrażających oferty. Astronomiczne ceny egzemplarzy doskonałych i niewiarygodne tempo: sprzedaż jednej sztuki, wartej parę milionów jenów, trwa przeciętnie sześć sekund. Mija minuta – i kolejny rząd leżących pokotem, białych od szronu

kadłubowatych tuńczyków jest sprzedany, aukcjoner przenosi do następnego swój mały stołeczek, pomalowany na czerwono, taki sam, jak ten, co kiedyś na lokalnych targach był atrybutem handlarza ryb. Mija jeszcze parę minut – tyle trwa przejście przez kilka rzędów, znakowanych kolejno jako sprzedane – i wszystko znika, rozprasza się, rozsypuje, przechodząc do dalszych działań tego niepojętego łańcucha. Tłok przy transporcie setek, tysięcy skrzynek, wypełnionych wszystkimi możliwymi produktami morza, w większości znanymi tylko Japończykom i tylko przez nich zjadanymi. Hałas przejeżdżających jeden przed drugim wózków widłowych – a przecież nikt na nikogo nie wpada, nie potrąca, nie trątuje. Wszyscy pracują ciężko, szybko, bezbłędnie. Oaza japońskości, w której ruchy długim nożem *maguro bocho* przy porcjowaniu rozmrożonych rybich kłoców wykonywane są w takim skupieniu, że swoją precyzją dorównują chyba cięciom *katany* w rękach samuraja.

Tyle zapisków sprzed lat, w których już wtedy porównałem pewną kompetencję, choć w gruncie rzeczy nie rozumiałem nic z tego, co widziałem. Na swoją obronę mam to, że byłem przynajmniej świadom, iż ta ezoteryka jest dla mnie, osoby z zewnątrz, niedostępna. Nie byłem natomiast świadom tego, że to na co patrzę i czego nie rozumiem, to tylko czubek góry lodowej – kompleksu, którego istnienia nawet się nie domyślałem. Tak łatwo dawałem się zwieść pozorom. Skoro aukcja tuńczyków odbywa się na nadbrzeżu (wtedy jeszcze tak było), to oczywiście znaczy, że zostały one właśnie dostarczone przez japońskich rybaków. Aukcja z cenami postępującymi w dół – widocznie taki to japoński obyczaj, „nasze dziaduczki i pradziaduczki tak robiły i my tak robimy”, jak to cytował, bodaj z Polesia, Bystroń. Pracowite sprzątanie i zbieranie każdego kawałka styropianu z opakowań – „typowo japońska” czystość i skrzętność.

Kiedy dziś myślę o swoim spojrzeniu podczas tamtej pierwszej wizyty, chciałbym użyć zwrotu „oczy szeroko zamknięte”: rozszerzone ze zdziwienia na widok zjawiska bardzo japońskiego, niezrozumiałego dla niewprowadzonego turysty, który poprzestaje na odwołaniu do egzotycznej japońskości; oczy zarazem zamknięte – bo nie dostrzegające biegnących daleko poza Japonię nici i powiązań. Tych ostatnich nie widziałem i o nich nie wiedziałem, bo nie było jeszcze wtedy (w 1984 roku) jednego słowa: globalizacja. Był glob ziemski, była nawet globalna wioska, ale ani angielskiej *globalisation*, ani francuskiej *mondialisation* jeszcze przez kilka lat nie będzie. Kiedy w dwie dekady później odwiedzałem parokrotnie Tsukiji, byłem już świadom ważności globalnych powiązań i dostrzegałem to, na co przedtem byłem ślepy.

Bo choć teren Tsukiji ma coś w rodzaju nadbrzeża, to przecież sprzedawane towary nie przypływają tu wcale na rybackich kutrach, pływających gdzieś u brzegów Japonii. Przyjeżdżają ciężarówkami, i to

nierzadko z lotniska Narita, pochodzą bowiem z łowisk dalekomorskich. To nowoczesny system połączeń transkontynentalnych, w tym transportu lotniczego, sprawia że na rynku sprzedawane są tuńczyki z wód wokół Sycylii, Nowej Anglii albo Nowej Zelandii, kraby z Sachalinu, węgorze z Morza Południowo-Chińskiego, ośmiornice z Zatoki Gwinejskiej, kosztowne ślimaki morskie z Kalifornii, dorsze z Alaski, a nawet – w tej peryferyjnej części giełdy, gdzie piętrzą się wszystkie możliwe przybory kuchenne – pałeczki jakoby z Polski.

Antropolog patrzący dzisiaj na taką koncentrację globalnych przepływów uświadamia sobie, że ma do czynienia z uchem igielnym, przez które przeciska się światowy strumień globalizacyjny. Po bliższym poznaniu tej instytucji (a może to robić także przez Internet, nie mówiąc o znakomitym rozpracowaniu problematyki *global sushi* przez Theodora Bestora, 2004) wie też, że sama giełda bardziej niż owocem japońskiej tradycji jest efektem administracyjnego projektu kontrolowanej dystrybucji, wzorowanego na rozwiązaniach europejskich, łącznie z architekturą budynków i samą ideą licytacji (tym bardziej nie jest miejscową specyfiką aukcja „w dół”, zwana przecież „holenderską”). W osobie aukcjonera badacz nie doszukuje się już kontynuatora tradycji dawnych sprzedawców, dostrzegając w nim raczej „operatora globalizacji”, który dzięki nieustannemu kontaktowi z reprezentantami handlowymi jego firmy maklerskiej na całym świecie zna tendencje cenowe i może najkorzystniej kształtować przebieg aukcji.

A jednocześnie, w przeciwną stronę, tokijska giełda określa ceny na światowych rynkach rybnych. Dzieje się tak zwłaszcza w odniesieniu do tuńczyków, których Japonia jest nie tylko wiodącym konsumentem, ale też re-eksporterem, dosłownie i w przenośni. Światowa popularność japońskiej kuchni sprawia, że to japońskie wzory konsumpcji, wiedza kulinarna i gastronomiczny kapitał kulturowy dyktują światowy popyt na określone składniki. Szanujące się restauracje japońskie w zachodnich metropoliach nie ośmielą się jakoby kupić na miejscowym rynku tuńczyka wyłowionego u ich własnych brzegów – ten tuńczyk poleci najpierw do Tokio, przejdzie przez Tsukiji, tu zostanie należycie pokrojony, i tak dopiero, wzbogacony o całą japońską wiedzę kulturową, drogą lotniczą trafi znowu do metropolii.

A to przecież tylko końcówka procesu swoistej japonizacji, który zaczyna się znacznie wcześniej, na etapie produkcji czyli pozyskiwania surowca. Połów tuńczyka jest to procedura, która na Morzu Śródziemnym, np. na Sycylii, odbywa się według kilkusetletniej tradycji, sięgającej jeszcze do wzorów arabskich. *La mattanza* to krwawe polowanie na stado, które wpływa w system przemysłnie zastawionych długich sieci, kończących się pułapką, *camera del muorte*. Tam, przy

akompaniamencie pieśni religijnych, przyrównujących śmierć tuńczyka do męczeństwa Chrystusa, nurkowie ciosami sztyletów uśmiercają stłoczone sztuki w dramatycznej walce. I tu właśnie jest miejsce na japońską interwencję: by w trakcie rzezi na korpusie nie pozostały rany i ślady, które obniżą wartość mięsa, japoński rezydent nadzoruje przebieg akcji, kontrolując stan pozyskanej zdobyczy i telefonicznie konsultując cenę zakupu z centralą w Tsukiji.

A skoro jesteśmy z powrotem w Tokio, to warto powiedzieć, że skrzętnie sprzątnięty styropian z giełdowych opakowań popłynie do Indonezji, gdzie zostanie spalony, tyle że toksyczne dymy nie dotrą do Japonii. A sprawność światowych dostawców, zaspokajających zapotrzebowanie na sushi, nie wróży dobrze tuńczykom z przełowionych akwenów.

Czy uświadomienie sobie takich faktów to jest ta wiedza radosna, od której tak optymistycznie zacząłem? Poczucie, że odkrywa się coś nieznanego i odsłania drugie dno, miewa coraz częściej gorzki smak.

Bibliografia

- Bestor Theodor C.
2004 *Tsukiji. The Fish Market at the Center of the World*, Los Angeles–San Francisco (UCP).
Kopeć Józef
1837 *Dziennik podróży przez całą wzdłuż Azję, łądem od portu Ochocka, oceanem przez Wyspy Kurylskie do Niższej Kamczatki, a stamtąd na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach*, Wrocław.
Wasilewski Jerzy S.
1987 *Św. Paweł – nawrócenie, odwrócenie i niepewność*, „Polska Sztuka Ludowa”, t. 41, nr 1-4, s. 177-183.
1998 *Tajna historia przedmiotów*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, t. 50, nr 3-4, s. 120-124.
2006 *Smutek Arktyki w masce święta, w szamańskim kostiumie*. Etnolog w podróży (6), „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, t. 60, nr 2, s. 5-14.

Przypisy

- Uzupełniona wersja tekstu ogłoszonego na otwarciu roku akademickiego 2016/17 jako wykład inauguracyjny dla studentów Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego pod tytułem *Humanistyka – wiedza radosna*.
- Patrz np. referaty antropologów religii, Fiony Bowie czy Fabiana Grahama na ostatnim interkongresie IUAES w Dubrowniku w ramach panelu *The ontological turn – new ethnographic approaches, theories and analysis of spirit mediumship, shamanism, religious ritual and discarnate phenomena* – <http://iuaes2016.com/congress-panel/panel-30-09-2015-054249-fabian-graham/>.
- Dla tych, którym nieobce są uroki języka rosyjskiego, ale nie znają tego brzydkiego przekonania, podam przykład wysoce niestosownego wyrażenia, nienotowanego przez przyzwoite słowniki, w którym jest ono zapisane: „[ktoś zna się na czymś, zna to tak dobrze] *kak gruzin pederastii*”; w komicznej wersji pewnego Amerykanina, parodystycznie samochwalczej: *ja govoriu po-russki kak gruzinskij pederast* www.zompist.com/phrases2.html.